

Jerzy Korczak

Opowiadanie niemoralne

A tak zaczął się przed samym wieczorem. Wchodząc do pokoju męża, Julia długo stała chwilę o tym nie wiedziała. Było mroczno, światło dnia nie dochodziło już do kąta, gdzie w głębokim fotelu mężczyzna łapczywie usiłował złapać oddech. Stapała na palcach; w czasie pracy nie znosił niczyjej obecności. Dopiero krótki, chrapliwy jęk zwrócił uwagę Julii.

— Krople... Są w lewej szufladzie — wyszeptał z najwyższym wysiłkiem.

Przypadła do biurka. Gorąco zaczęła rozrzucać równo ułożone papiery. W pośpiechu jakiś zeszyt w twardej okładce wysunął się jej z rąk i upadł na podłogę. Zabrzmiało to prawie jak wystrzał z pistoletu. Serce czuła pod gardłem; odwracając co chwila głowę w stronę fotela, usiłowała równocześnie odnaleźć zbawcze lekarstwo. Całą siłą woli nakazywała sobie spokój. Systematycznie, raz jeszcze przeszukała szufladę, potem szafkę i półki. Znalazła wreszcie buteleczkę z nitrogliceryną wciśniętą pomiędzy książki; nie było w niej jednak ani jednej kropli. Przez мгновение zaważała się: zostać czy biec po lekarza. Coraz częściej ją przyspieszyły decyzję. Była bezsilna — jej pomoc na nic się nie zda.

Otarła mu pot z czoła, rozpięła koszulę i narzuciwszy płaszcz wybiegła z mieszkania. Trzymając się poręczy, zeskaakiwała po kilka stopni. Najbliższy lekarz mieszkał tuż za przecznicą, ale usiłowała sobie przypomnieć inne adresy, na wypadek, gdyby go nie zastała. Tabliczki z nazwiskami lekarzy migły Julii przed oczami, gdy po minucie trzymała palec na dzwonku: dwa, trzy, cztery, dziesięć nazwisk...

— Pana doktora nie ma! — usłyszała suchy, drewniany głos; szpara w drzwiach nie spodziewanie się jednak rozszerzyła. Coś widać musiało być w jej twarzy, co zwróciło uwagę starej kobiety.

— Nagły wypadek?

Skinęła głową. — Atak serca... Mąż. W tej chwili wszystkie nazwiska lekarzy ulotniły się z pamięci. Nie była zdolna zrobić kroku — nie wiedziała, w którą stronę się obrócić.

— Proszę do środka! Zatelefonujemy na Pogotowie — Na plecach poczuła twardą rękę; silne pchnięcie przywróciło ją rzeczywistości. Przeszła przez ciemny korytarzyk, za ścianą grało radio i ktoś głośno pytał: „O której kolacji?”. Wzięła wciśniętą do ręki słuchawkę, ale numer Pogotowia był zajęty. Odczekała chwilę i znów próbowała się połączyć. Po drugiej stronie linii niecierpliwie zapytano o co chodzi. Zaczęła przez zaciśnięte gardło udzielać żądanych informacji, gdy usłyszała w słuchawce jakiś chrobot, czyis podniecony głos wzywał karetkę do ulicznego wypadku; głosy zmieszały się i nagle przerwano rozmowę.

— Co robić? — zapytała cicho, ale starej kobiety nie było już w pobliżu. Spoza ściany, na której wisiał duży, olejny obraz, dochodziła głośna rozmowa. Znowu ktoś pytał o kolację, a potem poirytowanym tonem żądał czystej, pościelowej bielizny i rachunków z wczorajszych zakupów.

Przez krótką chwilę Julia chłonęła odgłosy cudzego życia. Rozmowa z sekundy na sekundę zamieniała się w

kłótnię. Raz jeszcze nakręciła numer Pogotowia; wciąż było zajęte.

Przechodząc ciemnym korytarzykiem, nieśmiało zastukała do drzwi. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi. Odmierzono jej już widać w tym domu porcję litości; więcej nie należało oczekiwać.

Wybiegła na ulicę, bliska placu. Sprawy zwyczajne i proste sprzymierzały się przeciwko niej. Szła teraz szybko przed siebie rozglądając się po murach kamienic. Gdzieś tutaj powinna być tabliczka z nazwiskiem lekarza. Przed każdą bramą gotowa była na to przysiąc. Przeklinała swoją dzielnicę — odległość od śródmieścia, brak taksówek, ludzi nieufnych i obcych... Przestała sobie zdawać sprawę z czasu; od wyjścia z domu minął już chyba kwadrans, a może godzina. Nagle w skąpym świetle zabieliła się tabliczka. Przystanęła przed bramą i głę

skierowała się w stronę schodów. Mieszkanie lekarza znajdowało się na trzecim piętrze. Nie przeszła jednak nawet dziesięciu kroków, gdy znów zmieniła decyzję.

Wyszła teraz na ulicę i po raz pierwszy tego wieczoru zaczęła myśleć na zimno. Spojrzała na wystawę zegarmistrza: miało właśnie pół godziny od wyjścia z domu. A więc rozstrzygnięcie zapewne już nastąpiło. Może teraz wracać, a potem na zawsze wymazać wszystko z pamięci. Nie będzie to łatwe, z tego zdawała sobie sprawę. Ale jeśli nawet koszmarniejszego wieczoru do niej powróci, potrafi sobie dać z nim radę. Na pewno potrafi! Na moment Julia poczuła coś w rodzaju ulgi. Niedługo będzie mogła ułożyć sobie życie bez tych wiecznych kłamstewek i krętałów, które jak jad zatrwały powoli każdą godzinę.

Zapięła guziki płaszcza, poczuła chłód i dreszcze. Od nie zabudowanej strony ulicy zawiewał wiatr. Nieliczni przechodnie mijali ją szybko i obo

Mimo to rozłożyła gazetę na kolanach i zaczęła w myśli tłumaczyć. Czarna, zawieszista kawa rozjaśniała umysł; tłumaczenie szło jak z płatka.

— Cóż to, Julio, sama jesteś? — usłyszała czyjś głos. Nerwowo podniosła głowę. Nad nią stał jeden z biurowych kolegów — miły, dobroduszny drągał.

— Pozwolisz, że się przysięgnę... Zbyt wiele miejsca nie ma, prawda, ale przy dobrej woli, może i ja...

Nie czekając na pozwolenie, cofnął się kilka kroków i wrócił z krzesłem.

Julia wciąż milczała. Do końca tłumaczenia brakowało tylko dwóch czy trzech linijek; w żaden jednak sposób nie mogła przeskoczyć jednego miejsca.

— Czy nie wiesz, jak jest po francusku „krzesać”? — odezwała się wreszcie, gdy zamówił kawę.

— Krzesać? Po francusku? — Twarz drągała wyrażała bezradność i zdziwienie. Dwie starsze panie spojrzały na siebie znacząco.

— Ależ ja, moja droga, nie znam francuskiego. Po angielsku mogę Ci powiedzieć. Krzesać, znaczy...

— To zresztą nic ważnego! — przerwała mu pospiesznie, kładąc gazetę na swoje miejsce. — Ćwiczę się w tłumaczeniach i dlatego... W tej chwili była już bez reszty ogarnięta tępą, beznadziejną rozpaczą. Otaczające twarze zamazywały się, słowa przestały docierać.

— Co tobie, Julio? — zrozumiała wreszcie pytanie.

Przetarła czoło wierzchem dłoni. Dwie siedzące obok kobiety zmieniły miejsce; przesiadywali się teraz do sąsiedniego stolika i spoglądały na nią z uwagą.

— Może cię odprowadzić? Na мгновение skrzyżowali z sobą spojrzenia; Julii zdawało się, że jego wodniste, okrągłe oczy wyrażają coś więcej niż ciekawość.

— Zostaw mnie w spokoju! — chciała krzyknąć ile sił w płucach, ale zamiast tego powiedziała łagodnie i cicho: — Pójdę już. Głowa mnie boli.

Z najwyższym wysiłkiem zmusiła się do uprzejmego pożegnania i powoli wyszła na ulicę. Dopiero teraz zupełnie rozkleiła się nerwowo. Najbardziej, jak tylko mogła, ruszyła w stronę domu. Bez względu na wszystko chciała już znaleźć się oko w oko z rzeczywistością.

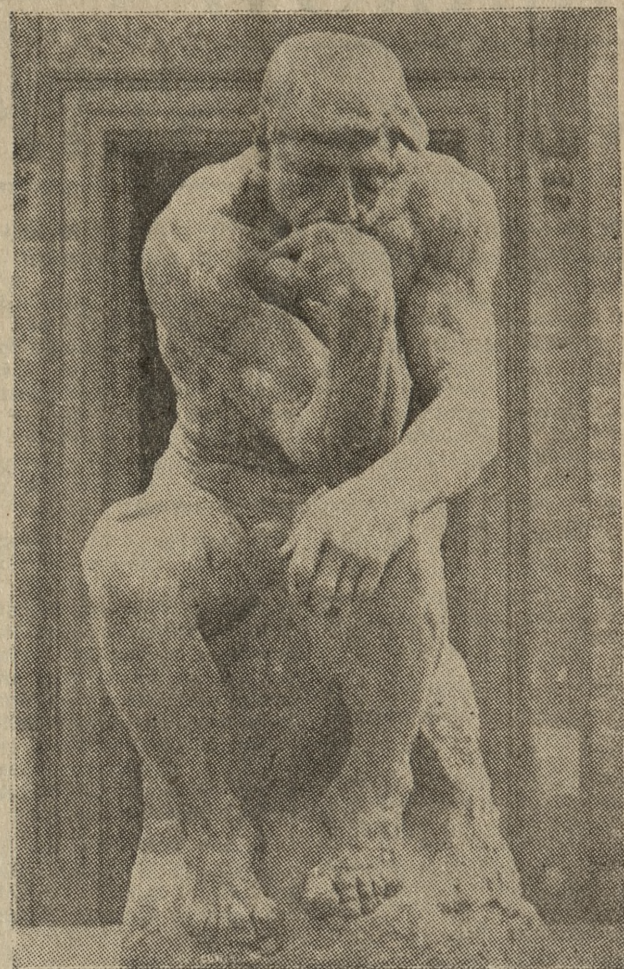
Przed skrzyżowaniem ulic zatrzymała ją czerwone światło; paliło się nieznosnie długo. Gdy przechodziła przez jezdnię omal nie wpadła na skręcający samochód.

W kwadrans później, wciąż prawie biegać, stanęła przed domem. Nie mogła złapać oddechu. Z trudem trafiła kluczem do zamku i zanim jeszcze otworzyła drzwi, usłyszała głos męża:

— Czy to ty, Julio?

Nie znalazła dość sił, aby odpowiedzieć. W milczeniu weszła do mieszkania, w milczeniu skinęła głową. Wszystkie dalsze pytania uprzedziła gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

Opowiadanie nagrodzone na konkursie literackim Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu.



Rodin — „Myśliciel”

O EGZYSTENCJALIZMIE — bez zachwyty i wstępu

Dr Włodzimierz Krzyżaniak

Nie ma chyba rzeczy trudniejszej, jak zdać obiektywnie sprawę z cudzego poglądu. Nie ma też zarazem rzeczy bardziej ułatwiającej stosunki między ludźmi jak właśnie wytrwałe dążenie do tego obiektywizmu. Wtłaczać własne okulary na cudze oczy to obyczaj, doprawdy, nieznosny. Spoglądać znów przez okulary nie własne na świat zmętniały i rozmyty w ostrości — to położenie nad wyraz przykre. Ale znać niebezpieczeństwa, to znaczy móc ich uniknąć! Wytrwajmy więc tu, nieczuli na pokusy i ponęty ryzykownych pochwał i oskarżeń. Bez zachwyty i wstępu spojrzmy na egzystencjalizm jak na zjawisko, charakteryzujące współczesność.

O egzystencjalizm ostatnio głośno, by nie powiedzieć — za głośno. Najzupełniej zbędne głosy w tym chórze peanów — to wystąpienia, pospolitych nad Wisłą i Wartą, snobów różnego autoramentu pici obojga. Dla nich „egzystencjalizm” sprowadza się tylko do... noszenia czarnych swetrów ekscentrycznie obcisłych lub, odpowiednio, bród, bawiących nas w tłumie ulicznym. Nawet Lucienne Boyer przed występem w Warszawie zdeklarowała się jako „stara egzystencjalistka”. Co do pierwszej połowy jej wyznania, to może można wierzyć, ale co do drugiej można śmiało wziąć tylko za płytki ozdobnik. Twórcy egzystencjalizmu, myśliciele głębocy i nieraz tragiczni, na pewno byliby skonsternowani korowodem takich heroldów swych myśli.

WŚRÓD MGIEŁ EPOKI

Filozofia, swoiście pojęta, stała nowi od tysiącleci zagon ludzkiej myśli. Związczą kiedyś lej przeżytego czasu pochłonię nas dość głęboko, zaczynamy wszyscy, prości i wykształceni, zdobywać własną koncepcję człowieka i wszechświata. Nie oznacza to, że każda jest trafna. Ale uczy to też zarazem, że — wbrew usiłowaniom mechanicznego jednolitego filozoficznie „ustawienia” umysłów — tyle będzie zawsze „filozofii”, ile myślących głów. Bynajmniej też egzystencjalizm nie istnieje jeden. Sączy się wieloma nurtami, których różnicowanie przerasta tu oddane nam miejsce. Śledźmy więc jedynie to, co w postawie egzystencjalistów jest najistotniejsze.

Nie żyjemy w czasach spokojnych. Starsi z nas mają za soba już dwie mordercze wojny. Miliony pochłoniętych w nich ofiar to wstrząsające „odkrycia”, wobec których do-

strzeżenie atomów i mgławic w odległości miliardów lat światła jest, istotnie tylko błahostką. Cała tradycyjna wiedza o człowieku może wobec tych „odkryć” runąć zupełnie w gruzy. „Nie znam duszy łotra — mówił La Mettrie — ale znam duszę człowieka, a ta jest okropna”. Rzecz jednak w tym, że, tak jak dzieci uczą się prosto siedzieć, tak dorośli winni uczyć się prosto myśleć. To znaczy, myśleć cierpliwie, jak radzi Newton, i nie przyprowadzać myśli skrzydeł, lecz ołów, jak radzi Bacon. Jeżeli więc oddać trzeba egzystencjalistom, że w dramacie ludzkiego losu sięgnęli odważnie do samego dna psychologicznej prawdy, o tyle ich fizyczna prawda wszechświata jest płytka i nie naukowa. Nie można dzisiaj, budując filozoficzną syntezę, utonąć w psychologii, odrzucając fizykę. „Tym gorzej dla przyrody!” mawiał Hegel, gdy jego schematy nie pasowały do świata. Dziś, taka postawa jest czymś gorszym od dziwactwa: stanowi naiwne wyzwanie rzucane nauce współczesnej.

Co prawda, żeglujemy w naszej epoce nie tylko wśród mgieł, spowijających istnienie (egzystencję) ludzką, ale i przebijamy się w dżungli naukowych faktów, która może przyprowadzić o lęk, że nauki nie wiedzą, dokąd idą. Człowiek został przez nauki rozsypany na świadomość i materię w miliardowe rojowiska cząstek. Będąc z krwi i kości, jest, zapewne, materią. Cechuje go istnienie (egzystencja), ale istota jego tonie w powodzi hipotez. „Człowiek, istota nieznaną”, biadał już Carrel.

PUNKT ORIENTACYJNY

Kartezjusz jeszcze przed wiekami upewnił się o swym istnieniu tylko świadomością myśli. „Myślę, więc jestem!” — oto brzytwa, której uchwycił się jak tonący. „Ja jestem!” z pewnością, choć gorzką, stwierdza prekursor nowoczesnego egzystencjalizmu, Heidegger. Jean Paul Sartre wmurowuje także istnienie, egzystencję ludzką, świadomą tego, że jest, choćby i reszty nie było, dla siebie samej (pour soi), jako kamień węgielny swej postawy. Stąd i nazwa: egzystencjalizm.

Ale każdy z nas, istniejąc, jest niepowtarzalny i bezkrycia”, wobec których do-

(Dokończenie na str. 2)



rys. Alojzy Krakowski

boko odetchnęła. Pachniało świeżą farbą, kotami i czymś nie całkiem uchwytnym.

W nodze poczuła lekki ból — uwiierał ją buć i postanowiła go poprawić. Nachyliła się nad rzemieniem pantofla. Pantofle były nowe i trochę za ciasne. Dostała je przed kilku tygodniami od męża na imieniny. Wspomnienie to nie spotęgowało w niej jednak rozpacz. Przeciwnie: wszystko krzychało w niej teraz, że w rękę ma wyjątkową szansę. Może już niepowtarzalną.

Stała wciąż nachylona nad dawno poprawionym pantoflem jakby w tej na pół kłęczącej pozycji szukała rozgrzeźnienia. Czy wolno było przejść obojętnie wobec propozycji, którą podsuwał los? Oparła się o wilgotną ścianę sieni. Z ulicy dochodziły strzępy rozmów, jakiś motocyklista przejechał na pełnym gazie bez tłumika... W głowie kottowało się od gorączkowych myśli. I jej przecież należy się coś wreszcie. Nie żąda wiele: chce być uczciwa, dlatego musi być wolna. Ma przekłamać całe życie? I wciąż tylko kra- chłone, pełne nerwów spotkania ze Zbigniewem. Ale jakby na przekór postanowieniu

jętnie. Przed oczami zobaczyła pokój, który opuściła w pośpiechu: biurko, półki pełne książek, reprodukcje prymitywów i fotel pod oknem. A na fotelu ciężkie, masywne ciało. Bezwładne ręce opadają wzdłuż skózanego obicia; końcami palców dotykają prawie podłogi. Wszystko to tak wyraźne, że poczuła, jak do gardła podpyływa jej fala mdłości. Zwolniła kroku. Orzeźwił ją zapach kawy. Spoza nie domkniętych drzwi dochodził gwar głosów.

Weszła do małej kawiarenki — nie było miejsca. Czyjaś obecność przy stoliku zdawała się być teraz nie do zniesienia; ochota na kawę potrafiła jednak i to przezwyciężyć. Usiadła w kącie obok dwóch na chylonych ku sobie kobiet.

Po wojnie trzymano ją w śledztwie ponad dwa lata; była sama w małej, kamiennej celi. Broniła się wówczas przed obiedem tłumaczka na francuski rozmaite wyciągane z pamięci wiersze. Przypomniła sobie o tym, gdy rzuciła okiem na zmiażdżoną, zadrukowaną płachtę pod stolikiem. Gazeta była stara, ale nie szukała w niej wiadomości. Na pierwszej stronie widniały dwa krótkie, okolicznościowe wiersze. Przeleciała wzrokiem po tekście: banał i słabizna.

KRAKÓW leży nad STYKSEM

Na początku był Wawel, potem rozbudowano Kraków, a w Krakowie wzniesiono Pałac pod Baranami. Dopiero potem przyszli egzystencjaliści i założyli „Piwnicę”. Jest to największa piwnica. Nieomalowana, zarosnięta pajęczynami i okopconą świecami, które przykryją się wprost do ścian. Panuje tu chłód i kwaśny zapach wina. Pan Jerzy Hordyński twierdzi nawet, że pachnie tu moczem. Tak że jednak nie jest. Bywają „Piwnicy” pod Baranami siedzą przy zapalonych świecach i nucą ponurą melodię jakby zaczerpniętą z porzeczki uroczystości. W blasku płomieni wyglądają jak bure cmy.

Stoły i krzesła pobierano ze starych rupieciarni. Byłoby to nawet zupełnie ciekawe, gdyby nie kurz i porzeczki. Widocznie jest to jeden z atrybutów przynależności do tzw. egzystencjalizmu.

Krakowska „Piwnica” skupia przeważnie aktorów, artystów i poetów bądź ludzi związanych ze środowiskiem artystycznym. Nie jest związana z żadną organizacją. Działa na zasadzie klubu zamkniętego. Obowiązuje tu przede wszystkim poza. Poza człowieka „znudzonego ży-

ciem”. Przychodzą tu artyści i snobi by począć sobie trochę (na Godota?) i wypić szklankę podłego wina z koreniami. W kominku pali się wszystkim co podejdzie pod rękę — od zwykłych drewnianych rupieci do potężnego krzesła. W całej „Piwnicy” panuje skrajny prymitywizm. Założenie niewątpliwie cenne, zwłaszcza dla odprężenia umysłu.

Co pewien czas, nieregularnie (jak prawie wszystko w Krakowie), odbywają się występy miejscowego kabaretu oraz wieczory literackie. Ostatnio wystąpiła młoda poetka warszawska pani Małgorzata Hillar, następnie „Swantewit” z niżej podpisanym z Poznania. Przyjechał na zaproszenie Magazynu Graficzno-Literackiego „Zebra” oraz „Piwnicy”.

Wieczór nasz odbył się tradycyjnie przy świecach i trzaskającym ogniu kominka. Frekwencja dopisała (brodacz również). Gwizdów nie było — a podobno to również należy do tradycji klubu. W sąsiedniej piwnicy znajdowała się wilczyca Kora, jej zachowanie było nadzwyczaj taktowne — nie wyła i nie obszczekiwała grupy. Autorki E. Danielewska i Jadwiga Badowska na życzenie

W krakowskiej „Piwnicy”

JANUSZ
SAUER



publiczności zarecytowały ponownie wybrane wiersze.

Ciekawą postacią jest pan Piotr Skrzynecki, który założył „Piwnicę” a także kabaret, o którym już wspominałem. Oczywiście — brodac. Wszystkich gości przybyłych na kabaretowe występy wita się chlebem i solą. Taki tu zwyczaj. Zespół Kabaretowy liczy około siedem osób. W jego skład wchodzi plastycy oraz studenci szkoły dramatycznej. Młodzi aktorzy grają bez szminki, częstokroć w łachmanach. Szczególny nacisk kładą na ekspresyjne oddanie słowa. Rola tradycyjnego kostiumu spełniają niekiedy akcenty plastyczne w postaci niedbale zarzuconego szalaw, czerwonych skarpetek. Teksty literackie, oparte na wyolwionych z życia absurdach, odpowiednio uwypuklonych, zyskują na barwie i posmaku. Podczas recytacji wierszy niedawno zmarłego młodego poety Andrzeja Bursy oczekuje się wprost pojawienia jego ducha w odwiecznie kraczące koszu. Tak więc nie brak przeżyć natury emocjonalnej. Celna satyra i groteska przypominają nieco wołanie kłowna tonącego w studni z pesymizmem. Pełno tu narzekania, biadołnia, cierpiętnictwa, wynikającego z bliżej nieznanych przyczyn. Oprócz tego sytuacje makabryczne przemawiające jednak do najwyższych i najniższych instynktów ludzkich. Ciekawie skonstruowane — ale na tym koniec.

Uzupełnieniem osobliwej atmosfery krakowskiej są jednoaktowe sztuki Samuela Becketta „Końcówka” i „Akt bez słów” grane w Teatrze „38” oraz poematowa wystawa malarska Andrzeja Wróblewskiego w Pałacu Sztuki na Pl. Szczepańskim. Artystę rok temu znaleziono martwego w górach. Jego tajemnicza śmierć pozostała nie wyjaśniona. Malarsko Andrzeja Wróblewskiego nacechowane jest ładunkiem intelektualnym pełnym tragizmu. Odkrywcze spojrzenie zadokumentował w wielu pracach, między innymi w obrazach przedstawiających wnętrza samochodów.

Matka z niebieskim dzieckiem urasta do symbolu pi-cassowskiego gołąbka aczkolwiek rodzaj malarstwa Wróblewskiego daleki jest Pi-cassowi.

Wśród żyjących krakowian specyficznym poczuć humoru odznacza się pan Jerzy Hordyński. A oto rozmowa podsłuchana w „Piwnicy”.

PIWNICZANIN: (przysłuchując się wrażeniom pewnego pana z odbytej podróży do Grecji, następnie pyta OSOBY TRZECIEJ): — Kto to właściwie jest?

OSOBA TRZECIA: Toż to Jerzy Hordyński!

PIWNICZANIN (z zażenowaniem): Nie wiedziałem.

Jerzy Hordyński: Trudno, niektórzy mają jeszcze te luki w wykształceniu.

OSOBA TRZECIA (do Hordyńskiego): — A jakie są kobiety w Grecji?

Jerzy Hordyński (jako znany feministą): O Greczynki są ładne, nawet można by powiedzieć wymyte. A poza tym to mówią całym ciałem...

Zaproszenie grupy Hordyńskiego skomentował jak następuje: „Przyjeżdżacie do „Piwnicy” i rzeczywiście po ZEBRA-cku...”. Skoro już mowa o „Zebrze” to wspomnę że — podobnie jak cały Kraków — lubi i tworzy tradycję. Przyjemnym i miłym zjawiskiem jest wywieszenie z okna redakcji chorągwi w czarne i białe pasy w dnu, kiedy nowy numer pisma ukazuje się w sprzedaży.

Kraków jest (mimo żywotności artystycznej) miastem sennym a zarazem chorą na cierpiętnictwo i upodobania mistyczne przy równocześnie niewysokim poziomie estetyczno-moralnym. Do stolicy Wielkopolski wraca się jak do polskiego Chicago. Barwniej tu i weselej, mimo, że warszawiaczy przypisują poznaniakom miano ponuraków. Kiedyś gdy „Piwnica” była w kraju ostatnią nowością poza warszawską „Stodołą”, w kołach snobistycznych Poznania mówiono się również o jakimś miejscowym odpowiedniku wymienionych klubów. Wątpię czy taka „Piwnica” w Poznaniu miałaby rację bytu. Usiłowania idące w tym kierunku można by nazwać zabawą architekta, który spogląda tylko błędy małe nie zauważając tego, że po-mysłka może być — na przykład — cały dom...

O EGZYSTENCJALIZMIE bez zachwyty i wstępu

(Dokończenie ze strony 1)

względnie jedyny. Daremne są próby nauk, które opisują „człowieka”, łowią go po gladiatoru w sieci schematów i godząc w niego trójzębem abstrakcji. Żadna z nich nie opiszę mnie bezbłędnie skoro gdy istnieję, istota moja ulega ciągłym zmianom. Jestem dzisiaj inny, niż byłem wczoraj i inny będę jutro! Istnienie u-stawicznie kształtuje istotę. To jedyny punkt orientacyjny w że-gludze wśród mgieł niepewności. Egzystencjalizm zabiega tylko o prawdę spraw ludzkich. Tak czyni już i stary Sokrates. Ale jego zwięźleniowy wynikało z prostego faktu, że na fizyce się nie znał, nawet, gdyby w niej był biegły, n.c by mu ówczesnie nie do-powiedział. Pogarda egzystencjalizm dla nauk przyrodni-czych jest w naszym czasie anachronizmem już nie do przyjęcia.

UBEZWŁADNIENIE GROZA

Rozmyślanie o istocie ludzkiej, zagubionej w nicości (néant) egzystencjalizmu, wymaga silnych nerwów i dużej odwagi. Ludzka to rzecz, że w każdym z nas wybuchą okro-sowo poczucie beśzyl, daremności, bezowocności wysiłków i hipnotyzuje nas lek przed końcem. Stary Epikur głosił tu „fizykę” bez bóstw i drwini z leku przed nimi i śmiercią. Pascal w swym słynnym „zakładzie” z sobą „na wszelki wypadek” — wierzył. Egzystencjalizm ubezwładnia groza, odwieczny lek ludzki. Wychodząc poza siebie (dépasser) by swą wolną istotę czynić codzienną, oto i wszystko, na co możemy się zdobyć, zatopieni w nicości. Tymczasem, „im bardziej chcemy wy-dać się innymi, niż jesteśmy, tym bardziej tracimy szanse stania się tymi, którymi być możemy”. Tego nie rozumie egzystencjalizm, ale przy jego za-łożeniach, nie można go za to winić. Stwierdzenie bezsensu istnienia wyklucza bowiem nie tylko moralność z etyką, ale i wszelkie wartościowanie „stylów” życia. Egzystencjalizm cieszy się swym odkryciem po-zytecznej możliwości stawiania się kimś innym, niż jesteśmy.

Inspiratorzy egzystencjalizmu:

Kierkegaard, Jaspers, Heidegger, Marcel, żarliwi jego apostołowie: Sartre, ostatni laureat Camus, Beauvoir — swego filozofii nie parodiują do awangardowego cynizmu. Uznaliby za pro-stactwo taką interpretację swych poglądów. Bliżsi filozoficznej myśli są zjawiskiem dawnym i wciąż się powtarzającym. Egzystencjalizm powtarza też wiele elementów, znanych od wieków w historii filozofii. Można jednak wątpić, czy jego synteza oznacza jakąś radykalną, pozy-teczną nowość wobec rzeczy już od dawna i dobrze znanych. Możliwe są bowiem radykalne cieża w węzły problemów, ale roz-sadek uczy rozwiązywać, a nie cłać węzły. Możliwe są też pró-

by syntez, odrażające sztucznością jak Hegla, lub podciągające pozorami oczywistości jak egzystencjalistów.

Kiedy przed wiekiem Soren Kierkegaard przeżywał swe egzystencjalistyczne „drżenie i lek”, a filozofii lubił „robić trudności”, trzeba w związku z tym przypomnieć, że również dzisiaj, my, ludzie nowocześni, w nocy, widzimy na ogół wszystko inaczej niż za dnia. Co prawda Sartre nie potrzebuje „użscenerii „nocy kierkegaardowskich”, by dojrzeć człowieka po grążonego w nicości. „L'Être et le néant” Sartre'a i „Sein und Zeit” Heideggera zaskakują nie tylko zbieżnością tytułów. Ale Sartre jest Francuzem, gdy Heidegger był Niemcem! Co tamten zrobił ciężko, ten robi z finezją i polotem. „Egzystencjalizm jest humanizmem! — zachęci czytelnika. Mimo zagubienia w nicości ma my swą istotę we własnych rękach. I Sartre jest literatem. Wie, że chętniej przeczyta się powieść lub zobaczy sztukę z egzystencjalistyczną „kwestią”, niż przebrnie się przez dziwaczny manifest nicości i grozy.

„NIE MA ZNAKÓW NA ŚWIECIE”

Człowiek egzystencjalistów rzucony więc został swym istnieniem w zbiornik nicości i pozostawiony samemu sobie. Posiadzie wszystko lub nic, z tego, co mu w ogóle dostępne. Będzie wszystkim lub niczym, to znaczy tylko pierwotnym istnieniem. Istota tę swą jednak lepi w trosce i trwode. W trosce o utrzymanie swego istnienia a w trwode przed jego końcem. Trwamy tylko do śmierci, po której nie ma zupełnie nic. Istnienie z innymi (etre pour autrui) jest tu małą pociechą. Niedoleżność egzystencjalistów w myśleniu kategorii nauk przyrodniczych rodzi ten ich programowy fideizm niebytu. Wyszliśmy z nicości i wnet się w nią zapadniemy. Nic nam po „wiecznej” materii z energią, wypełniających wszechświat. Sensu nasze go istnienia nikt nam nie ukazał. „Nie ma znaków na świecie”, jak lub w imię czego trwać. Nasza wolność wlatza nas w terror ustawicznego wy-boru dokonywanego na oślep, bez żadnych kryteriów sensu.

PRÓBA BILANSU

Taki egzystencjalizm wyklucza się zarówno z filozofią chrześcijańską jak i z marksizmem. Z pierwszą — choćby dla swego odrzucenia Boga, z drugą choćby dla swej tezy o niepoznawalności świata i dla apokaliptycznego i defetystycznego schematu jednostki ludzkiej. Sartre sądzi, że realizuje swą „wolność” poza historią i układem swego odniesienia. To tylko jego złudzenie.

Mimo to wszystko trzeba uznać, że egzystencjalizm dotyka najtrudniejszych ludzkich problemów. Czyny to z zimnym i bezwzględny wprost okrucieństwem, czy, jak kto woli, szczerością. Depczę złudzenia, ale sam też ulega własnym. Śmiem twierdzić bowiem, że kto choć raz w życiu przeżył pełną nicość „noc Kierkegaard”, ten jednak z nadejściem rana jest najbardziej daleki, by nadłuchiwac szepotu: „chodzi” śmierci, pogardząc nadal faktami, a w mgławicowym „wyjściu poza siebie” upatrywać jedynych nakazów postępowania i celu swego istnienia. Jest to filozofia wyczerpania, nie siły. Filozofia pogardy dla zdoby-czy nauk, nie nauka ich syntezy. Kiedy nowożytnym światem wstrząsa niepokój, egzystencjalizm ofiaruje mu przeprowadę w nicość. Antynaukowość: przewoźników może jednak zniechęcić do wstąpienia na ich kruchą i lichą skłconą tratwę.

Artystycznie egzystencjalizm może być twórczy i płodny, chociaż znowu wiadomo, że w sztuce nie tylko trzeba nam grozy Goyla ale również optymizmu Praksytelesa. W tym bilansie ukazuje się nam egzystencjalizm jako symptomatyczne zjawisko epoki i nie na razie ponadto. Rzeczy prawdziwie wielkie trwają bez sztucznego rozgłosu i wbrew kampanii oszczerstw trzeba odczekać.

(M. U.)

Dr. Wł. KRZYŻANIAK

MIECZYSLAW KARŁOWICZ



Mija 49 lat od chwili, gdy w pobliżu Czarnego Stawu w Tatrach, pod lawiną śnieżną zginął Mieczysław Karłowicz, liczący zaledwie 33 lata, kochający Tatry — obok swej kompozytorskiej twórczości — ponad wszystko. Dla muzyki polskiej był to cios tragiczny, bo uległ mu kompozytor wysokiej miary, a nadto talentik najprzedniejszej klasy. Te same Tatry, które Karłowiczowi dały cały skarb najpiękniejszych przeżyć i dodawały nowych sił do twórczej pracy — zabrały mu życie w momencie, gdy rozpoczął nowe dzieło symfoniczne.

Na duchowy rozwój Karłowicza miały wpływ nie tylko dogodne warunki wychowania i wykształcenia, nie tylko wysoka kultura duchowa domu i środowisko, w którym spędził swą młodość za granicą — ale przede wszystkim pracowitość i niechęć do wszystkiego, co jest połowiczne i niedoskonałe.

Jadąc w roku 1895 na studia do Berlina, obrał sobie dewizę: „Uzyskać maksimum wiedzy muzycznej!”, aby nie patrzeć na to, że inne narody wyprzedzają nas we wszechstronności wiedzy, potrzebnej do wykonywania twórczych dzieł muzycznych. Postanowił nie swe wykonać konsekwentnie.

Toteż w jego dziełach nie ma wahań w wyborze tworzywa, w stosowaniu formy i środków uderzają mistrzowską dojrzałością, pozbawioną połowiczności i łatwizny. Pod tym względem Karłowicz jest jedną z niewielu jasnych postaci w muzyce polskiej od czasu Chopina, na miarę europejską. Nie uznawał żadnego skrepowania jakimkolwiek kanonami, a najlepszym tego dowodem jest porzucenie przez niego utartych form muzyki symfonicznej, które oparował i pokonał po to, aby je — jako, zdaniem jego — pozbawione perspektywy rozwojowej — odrzucić. Wybrał formę, która wymaga najzupełniejszego opanowania wszelkich środków muzycznych, a

także udziału głębokiej refleksji artystycznej, wysokiej kultury duchowej, polotu: formę poematu symfonicznego. Nie przykładaj wagi do swych dzieł młodzieńczych, traktując je z pobłażaniem, mimo że właśnie one zapewniły mu szerzą popularność, dzięki swemu wdziękowi i lirycznej szczeroci.

Także koncert skrzypcowy, jeden z najlepszych w nowszej muzyce wirtuozowskiej, nie może być uważany za dzieło, odsianające nam w pełni jego indywidualności. Dopiero poematy symfoniczne: „Powracające fale”, „Trzy odwieczne pieśni”, „Rapsodia litewska”, „Stanisław i Anna Oświęcimowie”, „Smutna opowieść” i wreszcie nieskończony „Epizod na maskaradzie” — oto tytuły tych niewielu, ale jakże okazałych dzieł symfonicznych Karłowicza, dostojne w naszej muzyce zajmujących miejsce.

Karłowicz był tzw. muzykiem programowym, a więc twórcą, który źródło swej inspiracji i koncepcję duchową swego dzieła ujmuje w pewien program, wyjaśniający je i będący rodzajem również pozamuzycznego porozumienia się twórcy ze słuchaczem. Ale ta muzyka programowa, dzięki swej plastycznej tematyce i świetnej formie — przemawia do nas i bez programu, bez wyjaśnienia.

W swych opowiadaniach o wyprawach na szczyty tatrzańskie, opowiada nam Karłowicz o tym, jak pewnego razu szedł granią Gorczykowego Wierchu i wtedy niespodziewanie ujrzał w mgłę, unosząc się po drugiej stronie tej grani, odbicie swej postaci, oświetlone słońcem. Wierzenia ludów górskich mówią, że ludzie, którzy w mgłę górskiej ujrzą swój cień, nie żyją długo. My zaś, widząc w dziełach Karłowicza wierne odbicie jego postaci, powtórzmy mu słowa, które czytamy na granitowym pomniku — znajdującym się pod Kościelcem: „Non omnis moriar”...

Opr. B. HUDYMA

SIENKIEWICZ — w obronie Wielkopolanek

Mało kto wie, że znakomity autor „Trylogii” — Henryk Sienkiewicz, również pisał wiersze, a jeszcze mniej, że napisał piękny wiersz w obronie kobiet wielkopolskich. — są bardzo interesujące.

Otóż „Przegląd Poznański” (redagowany przez Władysława Rabskiego) zaatakował w jednym ze swych numerów kobiety wielkopolskie, zarzucając im bierność i obojętność w sprawach narodowych, na co znowu zareagowała pani R. S. w nr. 93 „Dziennika Poznańskiego”, wykazując przykładami, że Wielkopolanki działają i pracują nieustannie dla dobra narodu, ale nie szukają rozgłosu. Artykuł „Przeglądu Poznańskiego” przeczytał także Henryk Sienkiewicz, przebywający wówczas w Kissingen, którego również oburzyły niesłuszne i krzywdzące dobre imię Wielkopolanek, zarzuty „Przeglądu”. Pod wpływem tego wrażenia autor „Trylogii” napisał następujący wiersz:

Raz mi (w Kissingen właśnie) przyszła
[myśl do głowy,

Która krótkimi tutaj wypowiadam słowa:
Zwykłą rzeczy kolej, zwykłą zdarzeń siłą
Wiele się w Wielkopolsce z dawnych lat
[zmieniło.

A wiele jeszcze zmienić trzeba pracowicie,
Żeby się nie dać wrogom — i zachować
[życie.

W jednym tylko kierunku nie jestem za

Niech nam Wielkopolanki tak, jak są —
[zmiana;
[zostaną!

Wiersz ten Sienkiewicz oddał swojemu bliższemu znajomemu, Władysławowi Leckiemu, który natychmiast przesłał go redakcji „Dziennika Poznańskiego”, ten zaś umieścił w nr. 97 roku 1894.

Wiersz po II wojnie przypomniał po raz pierwszy Wiktor Hahn na łamach poznańskiego „Życia Literackiego” (nr 7/8 z roku 1946. Hahn podał wtedy, że wiersz prawie całkowicie zapomniany przez historyków literatury, ogłosił po prawie 40 latach Stanisław Karwowski w swojej „Historii Wielkiego Księstwa Poznańskiego” (Poznań 1931, t. III, str. 53). W dziesięć lat przed tym wydanym przez Ignacego Chrzanowskiego „Pismach zapomnianych i niewydanych H. Sienkiewicza” (Lwów 1922) — wiersz ten został umieszczony. Chrzanowski podobno nie o nim nie wiedział.

Istotnie, kobiety wielkopolskie zasłużyły sobie w pełni na pochwałę Sienkiewicza swoją wytrwałą pracą, poświęceniem i oddaniem dla sprawy narodu, walcząc o zachowanie ducha i języka polskiego w najcięższych latach niewoli.

(M. U.)

Jak już podawaliśmy, hamburski „Welt am Sonntag” rozpoczął druk cyklu artykułów ujawniających nieznane szczegóły przygotowań, produkcji i zastosowania niemieckiej broni rakietowej. Pierwszy z tych artykułów zrelacjonowaliśmy. Autorzy A. Bärwolf i H. W. Pragua przedstawiają w nim zainteresowanie bazą w Peenemünde wywiadu angielskiego już przed wybuchem wojny — i zdradą „nierozpoznanego profesora”, który dostarczył szczegółowych danych o wielu wynalazkach mających znaczenie strategiczne.

Nim pierwszy pocisk V-2 — bo na niego najbardziej liczyli generałowie hitlerowscy — wzbił się w stratosferę, by spaść jak grzmot z jasnego nieba na Londyn — przeprowadzono tysiące prób. Obecny dyrektor portu lotniczego Hamburga — Max Wachtel, a w czasie wojny dowódca „Sonderflieger” — opowiedział wiele szczegółów z tego okresu. Przeżywał go w sposób jak najbardziej bezpośredni. Jemu bowiem zlecono zorganizowanie oddziału, który miał ostrzeżać tymi pierwszymi pociskami rakietowymi rejon Wielkiego Londynu.

Poruszenie w „MI-5”

Dwaj panowie z oddziału „MI-5”, który w brytyjskim wywiadzie zajmował się rozpoznaniem niemieckich przygotowań rakietowych — zostali pewnego dnia poruszeni niesłychanymi odkryciami. Po pierwsze ppłk. Duncan Sandys (nawiasem mówiąc obecnie żię Winstona Churchilla), otrzymał z rąk polskich raport wywiadowczy o topografii Peenemünde. W artykule hamburskiego pisma pisze się, że raport był dziełem pewnego „Fremdarbeiter” (obcy robotnik). My jednak wiemy, że sprawa była daleko bardziej skomplikowana. Rzeczywiście, pewien polski robotnik, wywieziony do Niemiec, podsłuchiwał rozmowę pijanych lotników, którzy opowiadali, co to „za cuda się nie dzieją”. W okolicach ujścia Odry. Wiadomość przekazał do centrali wywiadowczej AK, która już na wyraźne polecenie Intelligence Service przeprowadziła fachowe rozpoznanie.

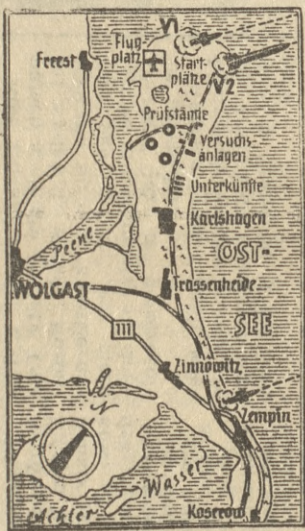
Dwóch przebranych za SS-owców polskich wywiadowców dostało się do środka bazy doświadczalnej w Peenemünde, gdzie udało się im wykonać drobne szkiełki topograficzne, które pociągłszy dostarczono do rąk ppłk. Duncan Sandysa, oraz blisko z nim pracującego naukowca — Jonesa. Obaj Anglicy postanowili zdobyć jeszcze jakiś bardziej konkretny dowód. Specjalnie wyposażonymi myśliwcami, latającymi na wielkich

wysokościach, zaopatrzonymi w nadzwyczaj precyzyjne fotoaparaty — uzyskali zdjęcia wywiadowcze. Na jednym z nich, wykonanym 23 czerwca 1943 roku przez sierżanta-pilota Peek — specjalistę rozpoznania latającą bombę czy rakietę leżącą na wyrzutni. Nie było żadnych wątpliwości.

Powietrzna armada rusza w drogę

Jednak nader trudno było przekonać rząd o konieczności zbombardowania Peenemünde. Jeden z najbliższych współpracowników Winstona Churchilla — prof. Lindemann — określał żądania Sandysa i Jonesa jako „histerię rakietową” i stanowczo odradzał przeprowadzenia „niedorzecznego ataku”. Wówczas przedstawił on polski raport wywiadowczy — co prawdopodobnie ostatecznie przekonało brytyjskie władze. 600 bombowcom brytyjskim wydano rozkaz: „Każdy musi wykonać zadanie bez względu na straty”.

W nocy na 18 sierpnia wielka armada powietrzna wyruszyła z wysp brytyjskich pod rozkazami komendanta grupy Searsbys.



Centrum ośrodka doświadczalnego broni rakietowej V-1 i V-2 nad Bałtykiem (Ost-See).

Rys.: Werner Schmidt

WALKA o V-1 i V-2 oczami Niemców

W tym czasie prace nad najgroźniejszą V-2 były daleko posunięte. Co prawda zdarzały się jeszcze częste awarie — i w jednym wypadku tylko dzięki przytomności umysłu porucznika Börgemanna, kierownika „strzelnicy rakietowej”, cała ekipa naukowa nie spłonęła w ogniu rakiet. Otóż z głowicy rakiet spadł żelazny talerz, który miał połączenie z mechanizmem pomp tłoczących powietrze do zbiorników z paliwem. Tak więc pompy tłoczyły samozapalający się płyn, jakby w czasie lotu — a rakiet stała jeszcze na wyrzutni.

Wówczas por. Börgemann krzyknął: „Wydobyć pistolety! — i sam zaczął ostrzeliwać cielska pocisków. Naśladowali go współtowarzysze. W ten sposób, przez wybite pociskami otwory, wydostało się tłoczone powietrze — i V-2 nie eksplodowała. W dniu, w którym Searsbys prowadził swoją grupę bombowców, w zasadzie wszystkie problemy konstrukcyjne — pisał autorzy cyklu artykułów — były rozwiązane.

Bariera płynącego fosforu

Było kilkanaście minut po pierwszej w nocy, gdy spadły pierwsze bomby „dywany”. Przeciły one cały teren doświadczalnego ośrodka na dwie części. W Trassenheide położyły szeroką rzekę płynącego fosforu, która uniemożliwiła nie tylko przejazd strażnicy pożarnej mieszczącej się w Zinnowitz, lecz także przejście kogokolwiek. Jak się zdaje, autorzy Bärwolf i Pragua, dziwią się („skąd Anglicy wiedzieli o tym słabym punkcie?”) nie wiedzą o pracy polskiego wywiadu, który dostarczył (według znanych nam relacji w „Kulisach”) szczegółowych szkiców topograficznych z wyszczególnieniem, gdzie jakie ośrodki się znajdują. Zdjęcia lotnicze, według których przeprowadzono bombardowanie, były tylko uzupełnieniem tego, co wskazali polscy wywiadowcy.

Zrzucono ogółem 2000 bomb — w czasie 104 minut. Tej nocy padło w Peenemünde 775 ludzi, jak zapewnia „Welt am Sonntag” — „przeważnie kobiety i dzieci”. Widocznie już alianckie lotnictwo miało zawsze takie garbate szczęście.

A nazajutrz rozkaz startu V-1

Mimo gigantycznego nalotu nikt z najwybitniejszych konstruktorów, a mianowicie: v. Braun, Thiel, Riedel III, Schilling, Dannenberg, Lindeberg, Rudolph, Riedel II, Heller, Enricke, Zolke, Bedürftig, Zangl, Pilz i Münz — nie zginął. Bombardowanie nie zdołało zniszczyć nawet wszystkich wyrzutni i pułk. Max Wachtel już następnego dnia rozkazał przygotowywać V-1 do startów. Także wyrzutnia V-2 nie została zniszczona.

Niemieccy uczeni ze swymi genialnymi mocodawcami mogą mó-



Oberst mit den vier Namen Max Wachtel jest obecnie dyrektorem portu lotniczego w Hamburgu. Dlatego widzimy go na zdjęciu w ubraniu cywilnym.

Max Wachtel jest obecnie dyrektorem portu lotniczego w Hamburgu. Dlatego widzimy go na zdjęciu w ubraniu cywilnym.

wie o niebywałym szczęściu, bowiem w momencie rozpoczęcia nalotu bombowego, w najbardziej zagrożonym miejscu ranerował cały pociąg cystern z najbardziej łatwopalnym, eksplodującym paliwem płynnym przeznaczonym do rakiet V-1 i V-2. Nieznany człowiek, który prawdopodobnie zginął w czasie nalotu, wyprowadził pociąg z niebezpiecznej strefy już pod ogniem padających bomb.

Fotografia w szwajcarskiej gazecie

Tak więc mozolnie przygotowywany nalot nie zniszczył bazy w Peenemünde, a wręcz przeciwnie z bazy doświadczalnej wykonano pierwszy udany ostrzał latającej bomby V-1, która wylądowała „omyłkowo” na wybrzeżu wyspy Bornholm, wzbudzając niebawem zainteresowanie tamtejszej załogi wartowniczej wybrzeża i żandarmerii. Ktoś jednak musiał sfotografować niesforny przyrząd, bowiem wkrótce w fachowym czasopiśmie szwajcarskim ukazały się fotografie V-1.

Tymczasem p. pułkownik Max Wachtel nie zasypiał gruszek w popiele. Nad wybrzeżem atlantyckim 60.000 robotników pracowało nad zbudowaniem wyrzutni. Prace prowadziła organizacja Todt, lecz wywiad aliancki deptał i tutaj Wachtelowi po piętach. Sztabowi Wehrmachtu chodziło o utrzymanie możliwie długo ścisłej tajemnicy i ukrycie niustających podróży lotniczych Maxa Wachtela, który krążył między wyspą Peenemünde a Belgią, Paryżem, Holandią. Wtedy to właśnie rozkazano mu, by występował tylko pod fałszywymi nazwiskami. Posiadał ich trzy.

W tym miejscu kończy się trzeci, dostępny nam raport z „Welt am Sonntag” — i musimy czekać do następnego numeru, który nie omieszkamy naszym Czytelnikom możliwie szybko streścić.

JAK „ROSNA” GÓRY

Oznaczenie wysokości szczytów górskich — zwłaszcza trudno dostępnych — jest kłopotliwe i stąd zdarzają się pomiary z dość znacznymi błędami. Uczyłem się w latach międzywojennych, że Mount Everest ma 8882 m, tymczasem według najnowszych danych „zmałał” o 40 m.

Inna, poważniejsza pomyłka tego typu została ujawniona w 1955 r. Stanowiła ona jednocześnie ujawnienie wielkiego triumfu Polaków sprzed osiemnastu lat. Sądzę, że warto przypomnieć tę historię.

Najwyższymi górami poza kontynentem azjatyckim są Andy, rozciągające się wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki Południowej. Nagie, skaliste szczyty przypominają nieco „księżycowy” krajobraz. Wzdłuż południowych zboczy dnem spływają rwące potoki, które zamarzają nocą, tworząc „lodowe wodospady”. Jest to spowodowane wielkimi różnicami temperatury w ciągu doby.

Przez długie lata za najwyższy szczyt Andów uważany był Aconcagua (7021 m). Nie jest on jednak zbyt trudny do zdobycia ze względu na dość łagodną pochyłość zboczy. Osiągnięty został między innymi przez pierwszą polską wyprawę w Andy — nie po raz pierwszy, ale zupełnie nową drogą.

Druża polska wyprawa udała się zimą 1937 roku. W skład jej wchodził: S. Osiecki, W. Paryski, J. Szczepański i J. Wojsznis. Głównym celem miało być wdrucie się na trzeci co do wysokości szczyt Andów — Nevado Pissis (6780 m). Zadanie zostało uwieńczone pełnym sukcesem. Poza tym zdobyto kilka szczytów o wysokości ponad 6000 m. Wreszcie w głównej bazie, położonej 40 m nad poziomem morza, odbyła się decydująca narada. Kierownik wyprawy, Justyn Wojsznis — wówczas student archeologii, nie chciał spocząć na laurach i zaproponował zaatakować — uważany wówczas za drugi co do wysokości szczyt Andów — Nevado Ojos del Salado. Pokusa była tym większa, że żadna stopa ludzka nie stanęła jeszcze na tym potężnym kolosie.

Uzgodniono, że podczas gdy Osiecki i Paryski skierują się na szczyt Tres Cruces, Wojsz-

nis i Szczepański zaatakują Nevado Ojos. Od obozu do szczytu dzieliło ich ponad 40 kilometrów. W ciągu kilku dni trzeba było wspiąć się i schodzić w dół, pokonując znaczne różnice poziomu. Drogę zagrażało bowiem kilka potężnych łańcuchów górskich, które należało przebyć przed rozpoczęciem właściwej wspinaczki.

Objuczeni namłotem, żywnością na okres dwóch tygodni i różnorodnym sprzętem, obaj Polacy dotarli wreszcie do podnóża szczytu i 6 lutego 1937 roku rozpoczęli morderczy szturm. Tegoż dnia udało im się stanąć na wierzchołku. Przed oczami odważnych alpinistów rozciągnął się zaczarowany widok roz-



Rys. L. Kapczyński

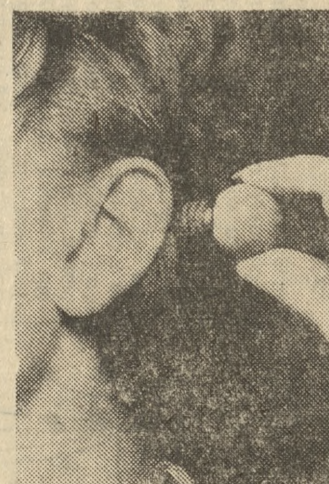
postartych bezkresnie na północ i południe wyniosłych ośnieżonych szczytów, na wschód — zielonego kobierca dżungli, na zachód — szmaragdowej tafli oceanu. A ponad tym wszystkim rozciągało się wspaniałe południowe niebo, niemal granatowe przy oglądaniu z tej wysokości.

Wiedzieli, że znajdują się wyżej niż jakikolwiek stały punkt Europy, Afryki i Australii. Ale o najwęższym mieli się dowiedzieć dopiero w 18 lat później.

Przetoczyła się straszliwa zawierucha wojenna. Wielu ludzi zapomniało o wyczynie alpinistycznym obu Polaków. Aż w 1955 roku prasa wszystkich krajów przypomniła ich światu. Otóż argentyńska ekspedycja prof. Orlando Bravo skorygowała poprzednie obliczenia, ogłaszając po kilkakrotnym sprawdzeniu, że szczyt ten ma wysokość 7100 metrów, a nie 6880 m. A więc on — a nie Aconcagua — jest najwyższym szczytem obu Ameryk!

Toteż wyczyn Szczepańskiego i Wojsznisa nabrał nowych wymiarów. Obaj też nie spoczywają na laurach i od czasu tamtej pamiętnej wspinaczki, która po wszystkie czasy rozsławiała ich imię w dziejach światowego alpinizmu, dokonali wiele nowych wypraw. Obecnie Wojsznis planuje eskapadę w najbardziej tajemnicze góry świata — chiński masyw Kuen-Lun.

Andrzej TREPKA



Nie, nie myślcie, że to najmodniejszy fason klipsów — to klipsy odbiornik radiowy na baterijkę, skonstruowany przez inżynierów Bocka i Pietscha z Hannoveru.

Fot. CAF

Spór o pergaminy

TRUDNE BADANIA * KTO I DLACZEGO UKRYWA? * CZYŻBY NOWE ŚWIATŁO NA FILOZOFICZNE POCHODZENIE NOWEGO TESTAMENTU?

W latach 1947—1956 w jaskiniach położonych nad Morzem Martwym w Palestynie odkryto bardzo stare i nieznane dotąd dokumenty. Jak się okazało, w jaskiniach mieściła się biblioteka, a prawdopodobnie także siedziba sekty żydowskiej Ezeńczyków, która była prześladowana przez kapłanów świątyni jerozolimskiej. Ezeńczycy żyli więc w ukryciu, wiodąc żywot kontemplacyjny, w dalszym odosobnieniu. Sekta ta jest o tyle ciekawa, że źródła wspominają o niej bardzo skąpo — a pergaminowe zwój biblioteki jaskiniowej są pierwszym historycznym świadectwem jej istnienia.

Stąd zrozumiałe jest zainteresowanie naukowców, którzy dostali w swoje ręce owe pergaminy. Znaczna część manuskryptów składa się z małych, zkrutwiałych skrawków, które trzeba było zestawiać z wielkim trudem i mozolem. Cztery zwój zostały już odczytane, a ich treść opublikowana — dalsze jeszcze nie.

To właśnie jest przyczyną niesłychanie ostrego ataku do centa uniwersytetu w Manchester — Johna Allegro, który

oskarżył uczonych z Palestyńskiego Muzeum Archeologicznego o świadome ukrywanie wyników swoich badań. Jak twierdzi uczonego z Manchesteru, znalezione nad Morzem Martwym pisma Ezeńczyków mogłyby rzucić zupełnie nowe światło na dzieje powstania chrześcijaństwa. John Allegro daje do zrozumienia, że „pewne koła kościelne” obawiają się publikacji dokumentów.

Jak jest naprawdę — trudno dojdź. W każdym razie warto odnotować wypowiedź jednego z niemieckich uczonych, który, oświadczając, że brał udział w badaniach zwójów esseńskich, dodaje, iż badania są kłopotliwe i utrudnione. — Nawet sam „kolega Allegro” nie opublikował części dokumentów, które posiada w opracowaniu.

Uczony z uniwersytetu w Göttingen — dr Hunzinger, wyraził przekonanie, że wszystkie dokumenty, znalezione nad Morzem Martwym, zostaną opublikowane, skoro tylko naukowcy będą gotowi z wynikami swoich badań.

No, cóż — poczekamy, zobaczymy... (ski)

Nowości z kraju i ze świata

Opera paryska oddała hołd pamięci znakomitego kompozytora francuskiego M. Ravela, zmarłego 28 grudnia 1937 roku. Program uroczystości wieczoru obejmował: „Rapsodię hiszpańską”, „Szeherazadę”, skomponowaną do słów trzech wierszy Tristana Klingsora; Koncert na lewą rękę i słynną „Godzinę hiszpańską”.

Prof. Kazimierz Demel, wraz z grupą młodych naukowców z Instytutu Morskiego, postanowił zbadać dno Bałtyku w rejonach przybrzeżnych.

Wyniki były rewelacyjne, gdyż na dnie Zatoki Puckiej, na przestrzeni około 30 km kw., znaleziono „skład” widłku, zgromadzonego w tym miejscu przez prądy morskie. A widłak jest cennym surowcem, poszukiwanym przez szereg przemysłów. W innym miejscu zatoki znaleziono złoża morskocynu, z którego wyrabia się kwas alginowy, służący do apretury tkanin oraz znaną powszechnie trawę morską do wyściełania mebli. (k)

Miliarder amerykański Robert Young popełnił samobójstwo. Przyczyną był podobno ciężki stan zdrowia.

Według amerykańskiego czasopisma „Business Week” liczba bezrobotnych w USA przekroczyła 4 miliony ludzi, co stanowi 7 proc. całej zatrudnionej ludności Stanów Zjednoczonych. Tygodniowy zasi-

lek bezrobotnego amerykańskiego wynosi 23 dolarów tygodniowo.

Przeszło 12 milionów ludzi wzięło udział w ostatnim 2 i pół lat historyczne zabójki Kremla. Wśród gości byli cudzoziemcy ze 130 państw.

6 maja 1959 przypada setna rocznica śmierci Aleksandra v. Humboldta. Dla uczczenia pamięci wielkiego uczonego niemieckiego Prezydium Rady Ministrów NRD postanowiło zorganizować w roku przyszłym uroczystości i konferencje naukowe, poświęcone życiu i dziełu Humboldta. (u)

Dwaj lekarze z Massachusetts Memorial Hospital w Bostonie poinformowali prasę, że wynaleźli nowy „cudowny” lek na serce i nadciśnienie krwi. Wynalazcami są dr Robert Wilkins, rowy prezes

American Heart Association i dr William Hollander. Nowy lek nazywa się CHLOROTHIAZIDE i chociaż został już dokładnie zbadany i wypróbowany klinicznie, nie został jeszcze wypuszczony na rynek. (b. z.)

Dr Reed O. Dingmans, członek Medycznej Akademii przy uniwersytecie Michigan, wygłosił referat na zebraniu Amerykańskiego Zjednoczenia Chirurów Skóry na temat nowoczesnych ulepszeń w sposobach leczenia oparzeń skóry. Ażeby dokonać skutecznego zabiegu, trzeba ustalić najpierw jak głęboko sięga oparzenie. Uzyskuje się to przez zastosowanie zastrzyku z „radiofosforu”, który zostaje bardzo szybko absorbowany przez organizm i którego promieniowanie polewa określić granice tkanek zniszczonych przez oparzenie. (zaj.)



Nie trzeba jechać do Mekki żeby zobaczyć meczet...

Wystarczy pojechać do... Paryża. Na ulicy Notre-Dame des Champs stoi autentyczny muzułmański meczet o dźwięcznej nazwie — Al Biskat. Każdego piątku zbierają się tu tłumy Afrykańczyków, Syryjczyków i Libańczyków (zdjęcie u góry z lewej). — Wśród tych licznych paryskich wyznawców Mahometa przeważają robotnicy i



studenci. Meczet Al Biskat jest zresztą miejscem nie tylko modlitwy. W obawie przed represjami policyjnymi, zbierają się tu również uczestnicy ruchu narodowo-wyzwoleńczego — zwłaszcza Algierczycy.

Przed wejściem do świątyni należy, oczywiście — zdjąć obuwie (zdjęcie u góry). A tak wygląda dziedziniec meczetu (zdjęcie u dołu).

Fot. — CAF

KODEKS MIŁOSNY z XII STULECIA



Niedawno PIW wydał uroczą książkę — „O miłości” Stendhala, będącą zbiorem luźnych notatek i obserwacji twórcy „Czerwonego i czarnego”. W tomiku — poprzedzonym przedmową nieocenionego Boya — znajdujemy ciekawy przyczynik na temat trybunałów... miłosnych, istniejących we Francji między rokiem 1150 a 1200.

Role sędziów w tych trybunałach spełniały kobiety. One też wydawały wyroki. Rozpatrywano zarówno kwestie natury ogólnej (np. „czy może istnieć miłość między małżeństwem?”), jako też poszczególne przypadki.

Kapelan króla Francji, wielbny Andrzej, wzmiankuje, że np. 9 wyroków miłosnych wydano w Szampanii, 2 we Flandrii.



— Wiem o tym, ale tylko w sobotę po południu mam czas na podlewanie.

„Vie Nuove”

Wspomniany kapelan podaje również kodeks miłosny, którym kierowały się owe trybunały przy ferowaniu wyroków. Z 80 paragrafów kodeksu podajemy najciekawsze:

1. Powołanie się na małżeństwo nie jest dostateczną wymówką od miłości.
2. Kto nie umie ukrywać, nie umie kochać.
3. Miłość może zawsze wzrastać lub maleć.
4. Miłość może zawsze wzrastać lub maleć.
5. Nie ma smaku to, co jedno z kochanków bierze siłą od drugiego.
6. Po śmierci jednego z kochanków nakazuje się drugiemu dwuletnie wdowieństwo.
7. Nikomu nie godzi się kochać, o ile go nie zachęcono nadzieją wzajemności.
8. Skapstwo zazwyczaj wygania z domu miłość.
9. Nie godzi się kochać tej, którą byłoby wstydem żądać w małżeństwo.
10. Miłość rozgłoszona rzadko jest trwała.
11. Zbyt łatwy triumf odejmuje smak miłości: przeszkody dodają jej ceny.
12. Nowa miłość wypędza starą.
13. Jedynie wartość osobista czyni godnym kochania.
14. Gasmąca miłość umiera szybko i rzadko rozbył się na nowo.
15. Od podejrzenia i z zazdrości wzrasta miłowanie.
16. Mniej śpi i mniej jada ten, którego obiega myśl o kochanku.
17. Zbyt namiętny rozkoszy utrudnia poczęcie się miłości.

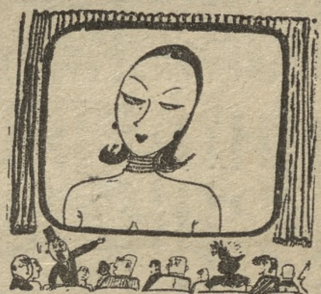
Od owych czasów minęło osiem i pół wieku. Świat zmienił się do niepoznania. A jednak, gdy chodzi o pojęcie miłości — nietrudno dostrzec, jak mało się zmieniliśmy. Dodać tu trzeba, że paragrafy tego osobliwego kodeksu mówią o miłości — nie o miłościach. Również pojęcie „kochanka” w naszym języku ma inne nieco znaczenie (w polskim języku słowo to ma w sobie coś wulgarnego; potocznie tak nazywa się partnera lub partnerkę zdrady małżeńskiej. W języku francuskim oznacza ono po prostu kochających się ludzi).

Odr.: B. K.



Zapewne wielu z Was czytało powieść Kirsta pt. „08-15”. Powieść ta została niedawno sfilmowana przez

reżysera Paula Maya (NRF). Całość podzieleno — podobnie jak książkę — na trzy części, które będą wyszły



— Halo! Co jest do diabła? Podnieście ten obraz trochę wyżej!



— Błagam, niech pani się ubierze, bo za chwilę zupełnie się roztopię!

„Wochenpost”

Pocztą Nowego Świata

Czesław Gąsiorek — Ryczywół: W tej sprawie radzimy zwrócić się do Ogniska Plastycznego przy Liceum Plastycznym, Poznań ul. Głogowska 82.

Michał Baran — Stajkowo. Niestety, nie wiemy, czy taka książka została wydana po wojnie. A może któryś z Czytelników ma tę książkę i chciałby ją odprzedać p. Baranowi? Tytuł książki „Worek Judaszów”.

„Zawiedziony” — Poznań. Niech Pan się nie przejmuj, nie wszystkie poznanianki są takie, jak Pan pisze. Radziłyby nauczyć się tańczyć (może koledzy pomogą?) — to wcale nie takie trudne. Być może, że wówczas nie będzie Pan wracał z zabawy zniechęcony.

„Prof. dr Zułowski” — Poznań. Sądymy, że opowiadanie zrozumiał Pan opacznie. List Pana przypomina nam inny protest, przysłany przez członków spółdzielni szewskiej. Mianowicie w jednej z notatek użyto wyrażenia „klinie jak szewc”. Czy w tym jest powód do obrazy? Podobnie wyglądają Pana pretensje: zgadzamy się, że żarty na temat cudzego kalectwa — to żarty bardzo niedelikatne. Nie rozumiemy więc, gdzie Pan się ich dopatrywał. Poza tym trudno nam uwierzyć w Pana tytuł „prof. dr”, skoro zamiast „ohyda” pisze Pan „ochyda”.

Franciszek Bryza, Leszno. Nadślane wspomnienia wykorzystał my w lutym ew. w marcu.



Fot (3): Centrala Wynajmu Filmów

tiane pod tytułami: „Koszary”, „Front”, „Kapitulacja”.

Akcja rozgrywa się w szacie ostatniej wojny. Realizatorzy filmu postąpili w sposób dosyć sprytny, choć — szczególnie nas — nie bardzo przekonujący. — Filmy zawierają wiele traf-

nej satyry na życie w wojsku, na tępotę podoficerów — ale na tym wymowa filmu się kończy. Odnosimy wrażenie, że to co widzimy, nie dotyczy armii hitlerowskiej. Ale film zrobiony jest ciekawie (dotyczy to zwłaszcza pierwszej i trzeciej części) i warto go obejrzeć.

KRZYŻÓWKA

pod redakcją L. Rudkowskiego

Poziomo: 1 — zimowy sport, 4 — aromatyczny napój, 8 — azjatycki wóz dwukółowy, 9 — wczesna pora dnia, 12 — ruchoma część turbiny, 13 — kamień ozdobny, chalcedon, 14 — aula, 15 część okna, 17 — tytuł abisyński, 19 — kupon, 21 — lokal gastronomiczny, 23 — poranny strój kobiecy, 26 — związek chemiczny, pochodny amoniaku, 28 — rzeka w Polsce, 29 — imię męskie, 30 — jednostka pojemności elektrycznej, 31 — circa, w przybliżeniu, 32 — wyższa izba parlamentu, 33 — ssak amerykański.

Pionowo: 1 — bicz, 2 — pokarm kanarków, 3 — wawóz, 4 — najdłuższy bieg w lekkoatletyce, 5 — moneta starogrecka, 6 — nieżył, 7 — treść koperty, 10 — pokojowa roślina śródziemnomorska, 11 — stałe miejsce pracy, 14 — pierwiastek chemiczny, 16 — służy do skręcania loków, 18 — gatunek papugi, 20 — pole, 21 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

21 — rodzimy ptak błotny, 22 — imię słynnego ongi włoskie

go aktora filmowego, 21 — później do 12. II (decyduje data stempla pocztowego).

Rozwiązanie krzyżówki z 5 nr. „Nowego Świata”

Poziomo: 1 — rumak, 5 — para, 8 — okular, 9 — taran, 11 — nawa, 12 — Aza, 13 — arak, 16 — Oka, 17 — Orawa, 20 — stos, 21 — mata, 23 — Arab, 25 — toga, 26 — anoda, 28 — era, 30 — dola, 32 — ara, 34 — teka, 36 — dotyk, 37 — altana, 38 — Anna, 39 — rampa. Pionowo: 1 — rota, 2 — mara, 3 — konak, 4 — kula, 5 — Pan, 6 — araba, 7 — Agata, 10 — azotan, 14 — rama, 15 — kot, 16 — osad, 18 — rata, 19 — węgry, 22 — Abel, 24 — rad, 26 — astina, 27 — orkan, 28 — radar, 31 — opal, 32 — atom, 33 — Akka, 35 — Ala.

Nagrody przyznane drogą losowania otrzymują z Poznania: Stanisław Ogrodowski, ulica Chłapowskiego 9, m. 8, Tadeusz Polański, ul. Engla 8, m. 5, Stanisław Hedezyński, ul. Wieżowa 2, m. 4 i Wacław Nowosielska, ul. Szelągowska 12 oraz Stanisław Witczak z Bojanowa, Bernard Proszek z Szamotuł i Joanna Spaleniak z Mosiny. Wszystkie nagrody przesłane będą pocztą.



— Nie, dziadziu, nie! Już na dzisiaj dosyć!

ALFABET — HISTORIA — CIEKAWOSTKI —

HERSZTUTOWO — prawdopodobnie pochodzi „z nieprawego łozza”. Ojciec, ponoć Niemiec (— her, here, czyli: wielki, znakomity, albo erst, erste — pierwszy). W każdym razie u nas to słowo oznacza przywódcę bandytów. Czyżby Hersztutowo miało kiedyś coś wspólnego z tym zawodem?

13 HUT: Stare, Nowe i takie i owakie — świadczą, że ten prze-

mysł „ciężki” istniał u nas już dawno. Największej tych Hut w powiecie słupeckim.

Sam wyraz huta jest krewniakiem niemieckiego Hütte. W HUCIE PUSTEJ na wschód od Murowanej Gośliny (dziś tylko leśniczówka) — przed 200 laty wytapiało szkło.

3 WŚIE HOLENDRY i wiele wiosek „holenderskich” wymagają dłuższego objaśnienia.

Ożeniły się tu dwa słowa: Holender z „Hauländer”. Pierwsze ma związek z przybyciem z Holandii, drugie — z karczowaniem lasów.

Skąd Holendrzy? Już w XVI w. z powodu ucisku religijnego, ze swojej ojczyzny zaczęli przybywać do Polski. Jako specje od osuszania mokradeł, na początek osiedlili się na Żulawach gdańskich, stamtąd zaczęli się posuwać na południe wzdłuż

Wisły. W XVII wieku dotarli... do Warszawy, zajmując Saską Kępę.

W XVIII wieku Holendrami nazywa się także osadników niemieckich, nawet polskich. Nazwa ta dotyczy nie narodowości, ale wioski osadzonej na prawie holenderskim, to jest za czynsz, a nie za odrabianie pańszczyzny.

W powiecie poznańskim (granice z czasów

Rzeczypospolitej szlacheckiej) powstało 78 osad holenderskich, z tego 50 na karczowskich leśnych, a 17 na gruntach gotowych.

W okresie Powstania Kościuszkowskiego „holendrzy” źle się spisali, stając najczęstszą stroną Prusaków. Moze to od tych czasów chłopi słowo „holender” przenieśli do rodziny takich jak: „psiakrew”, „cholera”, czy „do stu diabłów”. (32)